

Nazywam się Malina Alicja. Urodziłam się w Podorosku, powiat Wołkowyski. To jest poczta Podorosk, powiat Wołkowyski, ale nie w samym Podorosku, ale w osadzie. Na takiej działce, koło Podoroska. Mama pracowała jak nauczycielka, a ojciec był rolnikiem, prowadził gospodarstwo, zarządzał nim. Było dosyć duże, ponad czterdzieści hektarów, z tym, że dwadzieścia zapisane na jego ojca i dwadzieścia na jego brata. Jako hobby parał się myśliwstwem. Przypominam sobie, że stale jeździł na polowania. Tam zbierała się cała okoliczna śmietanka. Stale był na polowaniach i wciągał w to mojego brata, który chodził już na kaczki z ojcem. I mnie czasami też tam brał. Mieliśmy do tego odpowiednie psy, które pomagały przy polowaniu-wyżły. To sobie przypominam, bo stale były te zające ściągane, kaczki. Te momenty sobie przypominam. Tata lubił wiersze pisać-coś pisał, zapisywał-lubił dużo czytać. Mama była nauczycielką i dojeżdżała. Mieliśmy pomoc w domu, nianię, służącą, którą bardzo kochałam. Szalenie kochałam naszą Urianę. To była z pochodzenia Białorusinka. Ona nam bardzo dużo pomogła. Pamiętam, że kilka razy ojca aresztowali, mamę ciągnęli, bo przychodzili. Jak weszli Sowietci to mówili "oddawaj uchjo, oddawaj broń!". Ponieważ to byli Białorusini, więc ta Uriana miała braci swoich. I zawsze z tej opresji ratowała ojca. Kilka razy był chyba wsadzany do więzienia. I Uriana bardzo pomagała, i nas po prostu chroniła, bo mówiła, że "to dobry ludzie, dobre pany byli, że nie wolno ich w ogóle ruszać". Ona rzeczywiście u nas się cudownie czuła, a ja ją bardzo, bardzo lubiłam. Więc nawet, gdy Rosjanie później wkroczyli, i zabrali nam tę działkę, bo zabierali wszystko. Mamę przenieśli jako nauczycielkę do pałacu w Sydelnikach. Mieszkaliśmy tam w pałacu-ja z bratem-mama pracowała jako nauczycielka, a ojciec był na gospodarstwie. Uriana musiała odejść, była na wsi. Ja sama, nawet bez zezwolenia, szłam poprzez góry, lasy, łąki do Uriany swojej ukochanej i znalazłam ją na wsi, jako siedmioletnia dziewczynka. Poszłam z tego pałacu w Sydelnikach poprzez wsie, poprzez Podorosk. Pamiętam, że spałam u Uriany, i ona mnie rano odprowadziła.

Awantura była, piekło straszne-dziecko zginęło, a ono bardzo tęskniło za Urianą, za swoją piastunką. Ona też mnie szalenie kochała. Do tego stopnia była do nas przywiązana, że-mama mówiła-nawet jakieś rzeczy zachowała, i czekała aż my wrócimy z Rosji, pilnowała tych rzeczy, żeby nam oddać. Była bardzo kochająca.

W trzydziestym dziewiątym roku zaczęły się te bomby spadające, przychodzenie i zabieranie ojca do więzienia przez Rosjan, Białorusinów. Przychodzili i krzyczeli "dawaj oróżjo!"-przypominam sobie, że ojciec oddał broń myśliwską. Wtedy wszystko nam zabrali, była wielka bieda. Pamiętam, że jeśli chodziło o mleko to także był problem. Mie-liśmy tyle krów i koni, a był problem, żeby ja wypić szklanę mleka. To bardzo zapamiętałam z sowieckiej okupacji, że chciałam szklanę mleka i nie mogłam jej dostać, nawet nie wiem na jakiej zasadzie. Poza tym nie było ubrania już wtedy. Moje buty, to były drewniaki obite knotem. Mama zrobiła mi takie buty. Materiałów nie było, bo w na-gazynach przydziały były niewielkie, kawałek materiału na rok. Gdy ma-ma chciała mi uszyć sukienkę to był problem. Poza tym wysiedleni byliśmy do tego pałacu.

Mieszkaliśmy w pomieszczeniach pałacowych, w dwóch pokojach, gotowaliśmy w piecu kaflowym, bo nie było kuchni. Pamiętam, że jak mama później kończyła lekcje to myśmy z bratem do tego pieca kaflowego wcześniej, na czurnach, takich widełkach, wkładaliśmy jedzenie, zupełę, wyciągaliśmy. Były to już wielkie trudności.

Poza tym w tym pałacu mieściła się szkoła. I uczyli w niej w języku białoruskim. Polskie szkoły już były zamknięte, i mama musiała uczyć w języku białoruskim. Ja poszłam do pierwszej klasy i nic nie mogłam pojąć, nic nie rozumiałam. Nic nie mogłam się nauczyć, ten język sprawiał mi szalone trudności. Mama mi pomagała, prz-rabiała ze mną, ale miałam wtedy nieciekawe stopnie, było mi trudno. Utkwiła mi w pamięci czytanką po białorusku, że na granicy

dziewczynki wymieniały się. Z Polski szła taka biedna i uboga, a z Rosji szła przepięknie ubrana, i one chyba wymieniały między sobą prezenty. Było to po białorusku, o tym wspaniałym dobrobycie w Rosji i nędzy w Polsce. Pamiętam, że na rysunku stał żołdat na granicy. Chciałabym jeszcze raz zobaczyć ten podręcznik do białoruskiego, gdzie była ta czytanka.

Na wakacjach myśmy wrócili na swoją działkę, do taty. Tam nas w czerwcu zastał wyjazd. Ponieważ mieliśmy takie historie stale, byliśmy spakowani, od trzydziestego dziewiątego roku. Zresztą nas mieli wywieźć na Sybir już wtedy, mieliśmy sygnały poprzez tą Urianę. Ona nam donosiła. Byliśmy więc stale w pogotowiu. Przygotowana była jakaś wędlina, słonina czy boczek, żeby na wszelki wypadek to wszystko było przygotowane. Kilka razy pamiętam był taki alarm, że już po nas przychodzą i że już nas wysyłają na Sybir.

Koło nas wszędzie wywozili, od trzydziestego dziewiątego roku. Cały czas odchodziły transporty. Pierwsze pamiętam. Trzaskający mróz, w zimie. Wywozili, i mieli i nas wywieźć, ale nie wywieźli, i myśmy cudem ocaleni zostali. W związku z tym ojciec stale wysyłał znajomym paczki. To byli znajomo ojca i matki z naszej osady i powiatu. Interesowałam się tym, bo kuchnia była duża i na stole to się wszystko odbywało. Pytałam ojca, gdzie te paczki są wysyłane, dla kogo pakuje się te paczki. Ojciec mówił, że to dla tych, co zostali wywiezieni na Sybir. Pytałam się czy oni wrócą z tego Sybiru. Ojciec mówił "Wrócą, wrócą i będziemy ich kwiatami obsypywali" To mi się strasznie spodobało, że ktoś jest na Sybirze, jeszcze przyjeżdża i będzie kwiatami obsypywany. Myślałam, że gdyby mnie wysłali na ten Sybir, chociaż straszą, ale ja później przyjadę i mnie kwiatami obsypią, więc nie jest to tak tragicznie. Skąd dziecko mogło wiedzieć, jak tam jest.

Jak przyszli wtedy nad ranem Rosjanie, to było 21-go czerwca, było to <sup>już</sup> podczas wojny, bo wtedy atakowali nas, bombardowali nas.

stacji Wołkowysk, nasz ~~esza~~ ~~ton~~ był bombardowany.

Oni przyszli w nocy, normalnie. Dali nam pół czasu, ubierać się, i wyjazd. Ja się budzę, w takim białym kóleczku za siatką, a żołdat rosyjski stoi: "Wstawaj!" - krzyczy do mnie. Nie mama, tylko on. Ale potem mama mówi: "Wstawaj, wstawaj dziecko, wywożą nas na Sybir!". Ja to sobie skojarzyłam ten Sybir z tymi kwiatami i mówię: "Zdzichu, jedziemy na Sybir - do brata mówię - zbieramy się, potem nas będą witać kwiatami!". Złapałam najpiękniejszą lalkę, jaką miałam, i byłam przygotowana. Więcej nic nie robiłam. Natomiast mama miała tylko jedną rękę do dyspozycji, bo druga była cała obandarzowana, miała bowiem pięć dziur wygryzionych przez psa. My z bratem cały czas balismy się że to może być wściekliczna, i że mama nas pogryzie. Psy wtedy na ogół nie były szczepione. Mama tą jedną ręką pakowała. Dobrze, że chociaż troszeczkę było przygotowane. Niezupełnie, ale było. Ja zresztą interesowałam się, że złapię tą lalkę, bo wyjeżdżam na Sybir. Mówię z punktu widzenia dziecka. Tak jak ono to widziało, jak reago- wało na to wszystko.

Załadowali te wszystkie dobra na fura, i myśmy szli do Podorosa, do gminy Podorosk. Taką furą. Ja z tą przycisniętą do piersi lalką, brat, mama i ojciec. I tam w gminie, w Purze, kazali matkom i dzieciom po jednej stronie stanąć, a ojcom po drugiej. Jak rozdzielili mężczyzn od kobiet i dzieci wtedy kazali mężczyznom iść. I tyle żeśmy ojca widzieli. To było ostateczne pożegnanie z ojcem, jak kazali wtedy iść. Zapakowali ich na samochód i wywieźli. Jak później okazało się, to rozstrzelali ich od razu. W Wołkowysku. Mama wie to z listów proboszcza, a z nich niewiele można było się dowiedzieć, bo proboszcz pisał do Rosji i gdyby napisał prawdę to by go wsadzili. Ale na pewno zostali rozstrzelani. Od siostry, która została na działce dowiedzieliśmy się później, że dostał kulą w plecy. Był razem z dziadkiem. Dziadkowi udało się uciec, a ojciec został.

A dziadek z chwilą wkroczenia <sup>ponownego</sup> wojsk rosyjskich też zginął bez wieści. Do dzisiejszego dnia nie wiemy, co się stało z dziadkiem.

Nas do tych eszaków w Wołkowysku zapakowali. Tragedia, ludzie płakali. Były momenty, że dzieci były wykradane z wagonów, bo jeszcze przez jakiś czas ten eszakon stał - nie wiem, czy dwadzieścia cztery godziny, czy dłużej. Ale przynosili chleb mieszkańcy Wołkowyska. Komu się dało to i dzieci zabierali z tego transportu. Jeszcze nim wyjechaliśmy, to zaczęli Niemcy bombardować nasze eszakony i wszyscy się bardzo cieszyli, że zostajemy, że zbombardują, że wojna, że zostaniemy na własnej ziemi. Ale oni szybko zorganizowali się i ruszyli. I tak jechaliśmy z małymi postojami na stacjach, żeby skorzystać z gotującej wody - tam kąpiątek się nazywał. Czasami dawali nam zupę.

Warunki w wagonie były straszne, ja słabo pamiętam. Tylko przez szparkę wyglądałam z tej świniarki, a tak byłam cały czas na tej przyczepie. Z załatwianiem się to była historia, bo to była dziura w podłodze. Pić się chciało bardzo. Dziecko potem te przejścia tragiczne zapomina a gdy tylko słońeczko zaświeci, to ono się cieszy. Warunki były straszne ani jedzenia, ani picia, tłok straszny, ten fetor, smród, ale to dorośli bardziej przeżywają, a dzieci mniej pamiętają. Przeżywają, ale zapominają.

Jak wyszliśmy w Nowosybirsku na zewnątrz - a przecież nie widać było się słońca, słońca się nie widziało, ani drogi - więc jak wyszłam, zobaczyłam w Nowosybirsku przepiękne kwiaty kwitnące. Dla mnie to był cud, objawienie, chociaż pochodziłam z działki, i widziałam nie raz. Ale dla mnie były przepiękne. Nie mogłam o własnych nogach iść, niesiono mnie, bo bez ruchu człowiek był. Znieśli mnie jakoś do przystani. I potem myśmy tak koczowali z przystani do przystani, statki, parostatki, żeby dowieźć nas do tajgi, do miejsca przeznaczenia, do tego łapińskiego Boru czyli Smołokuru. Smołokur, bo tam smołę wytapiali. W noc i w dzień tam kurzyło się z tego. Jedyna komunikacja była rzeką Obią. Jedyna ko-

munikacja i dotarcie. Tam wiosną, <sup>jak</sup> wszystkie rzeki rozlały, to była jed-  
na woda, jedno morze. Pamiętam dzieci osobno, rodzice osobno na takich  
łódkach przyczepionych, fale zalewały te łódki, parostatek się psuł  
na rzece, łódką nas przewożono do następnego statku. W nocy <sup>szliśmy</sup> po  
takiej kładce, bez poręczy. Ludzie padali do tej rzeki Obji. Oczywiście  
nas trzymali pod pokładem. Wszy nas od razu obeszły, pluskwy, karaka-  
ny, pchły. Nie wiedzieliśmy, co się z nami dzieje. Zaczęło nas tak stras-  
nie gryźć. Dzieci były przerzucone do innej kajuty, potem znów. Strasz-  
nie płakały, nie wiedziały, czy się z rodzicami zobaczą, czy nie zoba-  
czą. Nie wiedziały, gdzie rodzice są. Wrzucili nas do kajuty, a rodzice  
nie wiadomo gdzie. To był taki mały stateczek. Drzwi się otwierały  
na zewnątrz, a na zewnątrz woda już. Jak tylko dziecko otworzyło drzw-  
to wypadło. A do tego zamkniętego stateczku doczepili łódki z бага-  
żami i rodziców, tzn. matki. Potem dojechaliśmy do jakiejś przystani,  
to nas wyrzucili do cerkwi. Tam było zboże. Myśmy przespali się na  
tym zbożu w cerkwi i znów dalej. Na samych już łódkach. Nie było wi-  
dać horyzontu, wszystko zalane. Sterczały jakieś drzewa. Je trzeba by-  
ło omijać, żeby się nie wywrócić. I ten wiosłował po tej rozlanej  
Obji, aż dojechaliśmy do Łapiboru.

Tam były ziemlanki. I wsadzili nas kilka rodzin do jednej  
ziemlanki. Pamiętam panią Szyngielską. Tam była też Łotyszka z nami  
Panią Szyngielską pamiętam, bo ona nas uczyła potem niemieckiego.  
Najpierw spaliśmy na klepisku, a potem prycze zrobiliśmy, i było  
miejsca tyle, co na te prycze. Był tam taki duży piec - najważniejsza  
rzecz, na którym śpi cała rodzina, gdzie się gotuje. Ten piec był ol-  
brzymi, on ogrzewał, duży ławka przy piecu. To było całe umeblowa-

Myśmy tam byli do zimy. W lecie brat chodził nad rzekę Ob i  
łapał ryby. Ja natomiast stale byłem w tajdze i zbierałem grzyby,  
jagody. W jakiś sposób żeśmy się żywili. Pamiętam taki moment, w cza-  
sie zimy, kiedy się zawsze napaliło barażo w piecu, i nie zamknęło

się wszystkich drzwi we właściwym momencie, i bardzo dużo dzieci i dorosłych w tagach czadziało na śmierć. Wchodził ktoś na piec, i potem rano ściągano trupa. Wystarczyło nie zasunąć szybów.

Ja w zasadzie uratowałam trzy rodziny w tym jednym pomieszczeniu, bo przyszła chazajka, i słyszy jak ja wyję. Wyłam. I ona mówi "Włóżcie jej palce do buzi, to zwymiotuje, ale szybko otwierać wszystko, co się da i wychodzić na dwór, bo macie czad tutaj! Bo znaczy ona oczadziała". Ściągnęli mnie z tej pryczy, położyli na podłodze, na klepisku zaczęli cucić, otworzyli drzwi, zaczęli nacierać mnie śniegiem. Stał się straszny szum, wszystkich też głowy rozboleły. Wszyscy się źle poczuli, ale ta chozajka wszystko momentalnie pootwierala. Ja leżałam na klepisku, i budzą mnie, cucą. Byłam już na ukończeniu. I pamiętam ten moment, gdy się obudziłam, a wszyscy nade mną stoją tak patrzą, a ja myślę: "po co mnie obudzili, mi tak dobrze było, co oni najlepszego zrobili" Bardzo się tym zmartwiłam, że uratowali mi życie. Miałam masę takich różnych przeżyć.

Były tam szkoły obowiązkowe i tam, koło Łapinboru, była taka wieś Karasie. Należało chodzić do tej szkoły. Myśmy ze dwa, trzy razy poszli ale nie mieliśmy ani w czym, ani jak, bo daleko i głodno. Z Polski mieliśmy ubrania, ale to wszystko poszło na jedzenie. Pamiętam, że nałożyłam beret, gdy poszłam do tej szkoły. Rosjanie nie wiedzieli, co to jest. Zerwali mi z głowy i krzyczą: "Ot, jaka capcia, jaka capcia!" I rzucali i pytali się, gdzie twoja capcia? Rzucali go jeden do drugiego, a ja biegam. Jak dolecę do tego, to on rzuca do tego "Kuda twoja capcia, skąd gdzie twoja capcia?" A ja tylko stanęłam w kącie i mówię "Ja nie znajduję gdzie moja capcia, ja nie znajduję!" Ten moment pamiętam z tą capcią. Ja to powtórzyłam kilka razy, i oni przezwali mnie "a ja nie znajduję gdzie twoja capcia". Jeszcze kilka razy myśmy tam chodzili, i przestaliśmy, bo nie mieliśmy w co się ubrać. To była pierwsza klasa i stale się to u mnie kończyło na pierwszej klasie. A dzieci były zebrane

z tego posiołku jednego i drugiego. Miejscowe i my.

Mama bez przepustki, bez niczego, starała się dostać do tych większych ośrodków, jak Narym, Parawiej. Te większe skupiska Polonii. Tym bardziej, że miała znajomych. I wzięła jakoś to zorganizowała, że myśmy się przedostali. Tam na tym terenie byliśmy w kilku miejscowościach. Różne historie nas spotykały. Mieszkaliśmy u takiej choziajki, która nam nie pozwalała gotować. Gotowaliśmy na dworze, przy iluś stopniowym mrozie. Rozpalaliśmy ognisko, i gotowaliśmy, bo na płycie nie chciała pozwolić. Był taki głód i tyle tych insektów, że ściany były czarne. Sufit to aż huczał od karakanów i karaluchów. Jak się jadło, to te karakany i karaluchy wpadały do jedzenia. To było koło Parawiejka.

Po przejściu z Lapinboru myśmy się tak przesuwali coraz bliżej skupisk. Jeszcze na jednym takim posiołku brat, jak mówiłam, stale chodził i łapał ryby. Bo przesuwaliśmy się wzdłuż rzeki. Podpływało się, osiedlało się, gdzie się dotarło, mieszkano się przez pewien czas, i potem dalej. Byliśmy bardzo głodni. Mama wtedy pracowała w kołchozie. Pamiętam, że znaleźliśmy z bratem zgniłe jajko, i ja te jajko zjadłam. Zjadłam je i widocznie dostała skrętu kłuszek, bo byłam cała czarna z bólu i tarzałam się po podłodze. I choziajka mówi tak: "Jak do rana dożyje, to będzie żyła. Jak będzie żyła to znaczy wytrzymała". I rzeczywiście ja wytrzymałam. Przeżyłam do rana. Jednak mój żołądek był nie leczony. Przez cały okres pobytu w Rosji, aż do przyjazdu do Polski, bez przerwy chorowałam na katar żołądka. I byłam leczona. Po tym jajku bez przerwy, i tu jeszcze do kilkunastu lat w Polsce, konkretnie nawet w Kielcach, mnie bardzo bolał ten żołądek.

Jeszcze jedna historia mnie spotkała. Właśnie u tej choziajki pluskwa mi weszła do ucha. Nie wiedzieli, co robić. Szum straszny, awantura, a choziajka poradziła, żeby gorący płyn wlać do ucha, tzn. nie płyn lecz tłuszcz. I wleli mi do ucha ten gorący tłuszcz i pluskiewka wypłynęła.



Jak już byliśmy w Kielcach, mama zwróciła się byłego dyrektora szpitalika dziecięcego, pana Waszkiewicza, że mnie po tym Sybirze stale boli żołądek. Chodziliśmy do tego dyrektora, on badał mi żołądek, wypisywał lekarstwa. Ja już byłam dorastającą osobą, trzynastoletnią, i się wstydziałam. On zawsze kazał mi się rozebrać i żołądek mi badał. Wiedzieliśmy, że któregoś dnia, gdy mama mi powiedziała, że jutro idziemy do lekarza, ja powiedziałam, że mnie już żołądek nie boli, że ja nie pójdę. Mama mówi, żeby jeszcze mnie zbadano. Ja nie, nie pójdę, ale u mamy powiedziała, koniec, nie ma odwołania. Idę więc do tego lekarza i kombinuję, że coś mnie w nocy gardło trochę bolało. Powiem, że żołądek mnie nie boli, tylko gardło. Wchodzę do lekarza. On się pyta: "Jak tam dziecinko?" A ja mówię "Panie doktorze, mnie żołądek w ogóle nie boli, tylko gardło". A lekarz mówi "To nic kochanie. I brzuszek zbadany i do gardziółki zajrzemy". Myślę sobie - nic nie pomogło. Brzuszek zbadano, do gardziółki zajrzał. Karetka, do szpitala, dyfteryt. Tak sobie wykombinowałam.

Wracając do naszej historii. To była wiosna 1942-giego roku. Myśmy przymierali głodem. Sikorski organizuje sierocińce na terenie Związku Radzieckiego, żeby dzieci uratować od śmierci głodowej. Opuszczają więc swoje matki i przyjadą - jeśli chodzi o nas to konkretnie do Tomsku. Tam został zorganizowany sierociniec. Mama w pierwszej wersji miała te dzieci odwozić. Pani Szmigielska była tam mężem zaufania. Ona dowiedziała się, i poinformowała wszystkich, mamę zobowiązała, że odwiezie. Ale NKWD się nie zgodziło na mamę. W ostatniej chwili odpowiedziało negatywnie, musiał ktoś inny odwozić. Myśmy z bratem już byli przygotowani. Wsiadliśmy na ten statek, który miał odwieźć dzieci. To była dosyć duża grupa osób. Z bratem byliśmy najbardziej dzielni i odważni, bo to był straszny moment, jak statek odbijał od brzegu, a rodzice stali na przystani. Piekło się zrobiło, dzieci chciały skakać do rzeki, rodzice też szaleli na przystani. Myśmy z bratem nawet

trzymali te młodsze dzieci za rękę, żeby nie uciekały, żeby zostały na parostatku. Parostatek dawał sygnał do odjazdu, szloch był niesamowity. Odbił. W kajucie było nas kilkoro dzieci. My z bratem byliśmy najstarsi. Mieliśmy taką chustkę, i dosłownie przywiązaliśmy klanke, żeby te dzieci nie uciekły nam z parostatku do wody. One nawet gryzły nasze ręce, żeby je wypuścić. My jakoś byliśmy przyzwyczajeni do tej myśli, bo mama miała nas odwieźć, i wrócić. Matki zaopatrzyły dzieci w jakieś jedzenie na okres jazdy. On miał trwać dwa tygodnie rzeką Obją. Przejazd się przedłużył, jedzenia zabrakło, dzieci były strasznie głodne. Ja byłam głodna i brat był głodny. Może była awaria, i nie dotarliśmy w swoim czasie na miejsce przeznaczenia. Pod pokładem byli kołchoźnicy. Myśmy tam chodzili, stali, patrzyli, jak oni tą ostatnią kromkę chleba jedzą. I ci kołchoźnicy dzielili się z nami tym, czym mieli. Widzieli, że dziecko głodne stoi, czeka. I ja gdy dostałam, czym prędzej biegłam na górę, i przynosiłam bratu. Jakoś przetrwaliśmy to.

Potem dobiliśmy do brzegu na przystani w Tomsku. Ten rejs zaczął się w Parabielu, albo w Marynie. Wzdłuż rzeki Obji. To była wiosna. Śniegi topniały, było straszne błoto, i nas wtedy prowadzili ze stacji do Czeremoszki - to taka osada za Tomskiem. Było błoto, my wygłodnieli, słabi, z tymi tłumokami i resztkami na plecach padaliśmy. Ostatni etap. Brudni, wynędzniali, wygłodnieli, dotarliśmy do tego baraku, i było takie nieprzyjemne spotkanie z dyrektorem tego obozu. Był to były wojskowy, bez nogi jednej. Podpierał się łaskami. Krzyczał i wymachiwał tym kosturem "Ręka, noga, mózg na ścianie, oko na widelcu, kto będzie..." "Pamiętam to przywitanie do dzisiejszego dnia"... kto zadziała, kto będzie niegrzeczny, kto piśnie słowo to wyrzucę". Wszyscy cichutko pokładliśmy się na podłogach. Dali nam czarnej kawy i kawałeczek chleba. To było całe pożywienie przez kilka dni. Spaliśmy na podłodze. Z tym węzełkiem pod głową,

z całym dobytkiem, który z domu zabraliśmy. Tam nastąpił podział dzieci. Młodsze dzieci do Spiegorodka koło Tomska, a te starsze zostały w Czeremoszce. W Spiegorodku były obozy, druty kolczaste, obozy pracy, a obok były baraki, w których się mieścił dom dziecka. To było dla tych młodszych dzieci, gdzie dyrektorem był Białpietrowicz, lekarz.

W Spiegorodku ogolili nas do gołej pały, ściągnęli z nas wszystko, wyrzucili, bo to było zawszone, zapluskwione. Wszystko pewnie spalili, a dali nam takie koszule męskie, buty czterdziesty drugi numer z podkowami, z jednej nogi. Tak jak narty grube i sweter amerykański i kominiarkę. Taki był nasz strój. Wynyli nas, ogolili, i położyli na tych pryczach. Była sala, i po obu stronach były prycze, i tak jak śle dzie, po kolei, po jednej i po drugiej stronie sali-między tymi pryczami było przejście.

Wyżywienie było straszne-zgniła kapusta, to co dostał sierociniec, paczki z Ameryki i Anglii: mąka, soja to wszystko wymieszane z tą kapustą. Dawali nam w ten sposób. Ja nie mogłam dziwnie jeść, miałam ten katar żołądka. Stale ta paja, i paja, i paja. Schudłam podobno strasznie, włosy mi sterczały na głowie, te wygolone, co odrastały. I tam właśnie była ta pani Szmigierska. Ona albo nas, albo <sup>wioska</sup> poprzedni transport. Miała się z nami skontaktować, i miała nas wziąć w opiekę. Ja koło niej przechodziłam, ona mnie nie widziała, a ja wstydziałam się powiedzieć, że ja to ja. Wreszcie się zdobyłam na odwagę, i tak ją troszkę za suknię pociągnęłam, i mówię, że ja jestem Alusia Stocka. "A, to ty jesteś, dlaczego ty tak strasznie wyglądasz?" Mówię, że jeść nie mogę. Ona na to: "To swój przydział, który dostaniesz, tej zupy, daj mnie, ja pójdę na posiołek, na wioskę, do choziajki i zamienię to na kapustę kiszoną." Ja jej dawałam, a ona wracała z miseczką kapusty kiszonej. Jak zaczęłam jeść tę kapustę kiszoną, to poczułam straszny głód, i jeść mogłam paję i jeszcze gorszą, ze śmietnika. I tylko daj zgniłe, nie zgniłe, żeby tylko jeść.

Kapusta kiszona okazała się wspaniałym lekarstwem. Zaczęłam jeść, poczułam głód taki, że paja była dla mnie objawieniem.

Dzieci chorowały na szkorbut, ~~świerzb~~<sup>był</sup> ogromny. Jedynym lekarstwem było pędzlowanie dziąseł. Świerzb się usadawiał. przeważnie na siodełku. To były całe strupy. Ja dziwnie jakoś najgorzej wyglądałam. Cała byłam obandażowana, bo wszystko mi ropiało, jeszcze wrzody się rozlewały. Wszystko się to rozlewało po mnie. Rano było pędzlowanie jodyną. Miałam takie kurzajki na nodze. Mama przed wojną miała straszny problem z tym. Chodziła do lekarza ze mną. Gdy ten świerzb dostałam, to i te kurzajki zgniły, i wszystko wyropiało. Najgorsza to był świerzb między palcami, bo wtedy zawsze sobie przypominałam trędownych, że szli do wody. Bo pierwszą rzeczą, którą robiłam gdy wstawałam, to szłam do wody, bo byłam zaklejona, ręce i palce były sklejone, musiałam się umyć i wtedy było lżej.

Jeśli chodzi o stosunki, to mało sobie przypominam. Panie starały się, Białopiotrowicz się starał dosłownie do tego stopnia, że nawet starał się zorganizować z tymi dziećmi jasełka.

Chyba był tam nawet ksiądz, bo zawsze były odprawiane wieczorne i ranne modlitwy. Śpiewało się "Kiedy ranne wstają zorze", i potem "Wszystkie nasze dzienne sprawy". Na takiej wspólnej sali odbywały się zawsze wieczorne i ranne modlitwy. To musiał być więc ksiądz wśród nas wtedy.

Potem nas przenieśli, takie troszeczkę starsze dzieci, do następnego baraku. Z dyrekcją zostały najmłodsze. Starsze przenieśli do następnego baraku. Tam były też pobudowane prycze, pod pryczami był śnieg, za oknami druty kolczaste i ten obóz pracy, a w koło fama, że grasują ludożercy, i że nas mają zjeść. My dlatego mieliśmy dyżury, i staliśmy przy kłance; trzymaliśmy tą kłankę, żeby ten ludożerca się do nas nie dobrał. Dzieci były w zasadzie bez opieki. Nie było wychowawczyń. Obok nas, w pokoju, były starsze dzieci. To była grupa dzieci starszych o jakieś dwa lata.

Dzieci właściwie same sobą rządziły. Dostawały tylko posiłek, i same musiały tam posprzątać, czymś się zająć. Więc trochę bawiliśmy się. Jeden był taki, który chodził i penetrował śmietniki. Zawsze coś tam znalazł, i z tego ~~wazył~~ zupe w piecu, bo w tym pokoju był piec kaflowy. On znalazł pociętą, zgniłą brukiew, puszkę po czymś. Tam sobie kroił, krew razem mieszał z tym. Myśmy siedzieli koło niego, i prosiliśmy "daj nam troszeczkę tego". On mówił "Jak ty będziesz grzeczny, to ja ci dam, a jak nie będziesz grzeczny, to nie dam". Mówił, że jego ojciec ma fabrykę pomarańcz-tak sobie dzieci imaginowały, wymyślały różne rzeczy, które chytrzejsze, mądrzejsze-on był przebiegły, i mówił: "Słuchaj, będziesz grzeczny to mój ojciec, jak przyjedzie, to ja ci dam pomarańczę; a ty jesteś niegrzeczny, to dostaniesz ówiec". Dzieci płakały i prosiły - mnie też daj jedną albo dwie. "No to bądź grzeczny, to dostaniesz!" I dzieciomnie przychodziło do głowy, że pomarańcze rosną, a nie produkuje się je w fabryce.

Mój brat został na Czeremoszce. I tam, jako już starszy chłopiec, pracował. Oni musieli przewozić pomoce z Ameryki i Anglii, zasilające magazyny jednego i drugiego domu dziecka. Często więc brat przyjeżdżał tu chłopakami na saniach. Wiedziałam, że mój brat jest strasznie głodny, więc prosiłam starszą koleżankę, że gdy dostaniemy po kawałeczku chleba na dzień, żeby ona ode mnie ten chleb brała i chowała, bo jak nie schowa to ja go zjem. Mówiłam, że choćbym prosiła na kolana, żeby chleba mi nie dawać, bo brat przyjedzie głodny, i ja nie będę miała mu co dać. I rzeczywiście tak było, że brat przyjeżdżał raz na jakiś czas, do nas przychodził, i ja ten chleb mu dawałam. Zawsze miałam ten poczęstunek dla brata w formie nojego nie zjedzonego chleba.

Dowiedziałam się pewnego razu, że mój brat jest umierający na tyfus. W Tomsku leży w szpitalu i umiera. Po jakimś czasie powiedziano mi, że wrócił do zdrowia, i wrócił na Czeremoszkę. Zezwolono mi pójść odwiedzić brata. Jeszcze z jedną koleżanką. Miałam wtedy osiem, dziewięć lat, i pozwolono mi iść ze Spiecgorodka do Czeremoszki. Był straszny

huragan, w zaspach było powyżej mnie śniegu. Opatulono mnie we wszystko, i ja z tą koleżanką brnęłam. To był taki burian straszny. A ja szła. Ponieważ mi powiedziano, że przyjechał ze szpitala, że jest dobrze pilnowany. Dostaje dodatkowe wyżywienie, że nie jest głodny, że nic mu nie potrzeba, że wszystko ma, dlatego ja już tego chleba nie zbierałam, i nie wzięłam ze sobą nic, bo nie miałam. Mnie zawiadomili, że mogę go odwiedzić, a chleba nie zbierałam. Powiedziano mi, że zupy dostaje do syta, że zjada osiemnaście miseczek zupy. Pamiętam ten moment, że ja wchodzę, a on spodziewał się mnie więc otworzył mi drzwi. Ja patrzę, a on taki chudy, taki odwodniały, oczy ma na wierzchu, szerokie, duże oczy i nie tylko patrzy na moje ręce. A moje ręce są puste. Nie zapomnę do końca życia tego momentu. Zawsze był przyzwyczajony, że ja mu coś przyniosłam, a tu patrzy, a moje ręce są puste. Mówię mu "Nic nie przyniosłam, bo powiedziano mi, że ci dają zupy do syta".

Zostałam tam u niego. Był obiad, i akurat była ta zupa - to była wasserzupka, jeden ziemniak zgniły i kapusty trochę kiszonej. I rzeczywiście, on kursował z tą miseczką osiemnaście razy, ja chyba trzy, ale jak byłam głodna, tak byłam głodna.

Wróciłam spowrotem do Spieckgorodka. Jak wspomniałam, był w naszej grupie ten zaradny chłopak. Polegało to także na tym, że gdy przychodziły te paczki, to porozdzielano je, ile na kogo przypada sukienek, jakichś ubrań. Ten chłopak od razu poszedł, sprzedawał, i zamieniał sobie na produkty żywnościowe, a nam to by nigdy nie przyszło do głowy. On sobie tak organizował i podjadał.

Niebawem rozeszła się wieść, że sierociniec przechodzi w rosyjskie ręce. A te rzeczy, które nam dano, będą teraz zabierali. Tego było po dwie, po trzy, po pięć sukienek. Były one piękne, z tiulu, amerykańskie. Nieprzydatne tam, ale każdy do tego się przywiązał, i trzymał pod poduszką. Pamiętam ten moment, gdy ta komisja miała przyjść, zobaczyć, jakie dzieci przechodzą do tego sierocińca pod zarząd rosyjski do Tomsku, więc dzieci wszystko co miały, wszystkie sukienki, na siebie

włożyły. A żeby to do tego ładnie wyglądało, to zrobiliśmy kółeczko i zaczęliśmy tańczyć "Moja Ulianko" i inne zabawy; "świnka tu, świnka tam" - poruszać się pięknie, śpiewać. Komisja chodzi, patrzy, a tu z takich cieniutkich dzieci porobiły się bomby straszne, jeszcze do tego gołe głowy, nogi bosa, tylko te buty 42-gi numer, a tu po sześć, po siedem sukienek letnich/a to była zima/. Tańczyliśmy "Stary niedźwiedź mocno śpi", bo wszystkie to umiałyśmy, i tańczyłyśmy codziennie. Komisja popatrzyła, przyaknęła oko, nic nam nie zabrali.

Organizacyjne sprawy przeciągnęły się, a nam nie dawali jeść. Nie było zaprowiantowania. To zaczęli, tamtego nie skończyli, i my topiliśmy śnieg i wodę piliśmy, ten ostatni, czy dwa dni. Przewieźli nas do Tomsku. Tam cały sierociniec, i Czeremoszka, i nasz już połączono.

Dyrektorką została Rosjanka, bardzo energiczna osoba, bardzo jej się baliśmy. Naszą wychowawczynią była Ukrainka, też bardzo energiczna. Trzymała wielką dyscyplinę. Tam kazano nam już chodzić do szkoły. A w czasie wolnym pracowaliśmy na polach latem, a zimą, dziewczęta np. robiły na drutach, na zlecenie. Oczywiście tu także był świerzb, pluskwy, karakany i te wszystkie insekty. To wszystko nas okropnie gnębiło. I wrzody, i szkorbut był. Wieczorem nikt, nigdzie się nie pokazał. Bandy chodziły dzieci, biezprizorników. Starsi chłopcy, gdy chodzili do pracy, to musieli po zmroku wracać, ponieważ bandy napadały i kamienowały.

Latem chodziliśmy do miejscowości Księżowka, piętnaście kilometrów tam i spowrotem. Tam powstała pierwsza stacja atomowa. Czytałam później, że na tych polach, za Tomskiem, gdzie kopali ziemniaki, spaliśmy nawet czasami, powstała ta stacja atomowa.

Do szkoły oczywiście też się chodziło. Wychowawczyniami były Polki. W tym sierocińcu. One starały się nauczyć czegoś te dzieci. Jedną z nich była choreografem, i ona uczyła nas między innymi ~~polkich tańców~~ polskich tańców; mazura, kujawiaka. Porobione zostały

tańców polskich: krakowiaka, mazura, kujawiaka. Porobione były bardzo prymitywnie stroje z merli, z puszek. Te nasze panie wzięły się i robiły te stroje. Zewnętrznie wyglądały one bardzo ładnie, elegancko. Występowaliśmy we wszystkich szkołach, w sierocińcach rosyjskich. Takie sobie występy przypominam w olbrzymim szpitalu Nowosybircow, do którego przywożono z frontu <sup>(ludzi)</sup> bez rąk, bez nóg. Olbrzymia sala, leżeli ci żołdaci rosyjscy, a myśmy z krakowiakiem, z mazurem wychodzili na salę i tańczyliśmy. Robiliśmy też dla wojska pudełka do zapalek - to robiło się na akord. Dzieci robiły woreczki na machorkę. Wykonywaliśmy różne rzeczy, po prostu cały czas się pracowało w wolnych chwilach. Ci rosyjscy żołdaci byli bardzo zadowoleni, cieszyli się, że ktoś przychodzi. Byli zresztą ciekawi tych polskich tańców: kujawiaka, i mazura, i krakowiaka. Z drugiej strony my byliśmy bardzo zadowoleni, że występujemy, że możemy występować, że jesteśmy w tej trupie, bo gdzieś się szło, do innego sierocińca, i tam dostawało się zawsze jedzenie. Potem bowiem nas częstowali. Często, gdy cały sierociniec już spał, zostawaliśmy i sprzątałismy. Były potworzone takie grupy. Starsi chłopcy nosili piasek, wodę, a my szorowaliśmy podłogi piaskiem. I za to, w kuchni, zostawiali nam zupę, na zakończenie pracy. Toteż bardzo chętnie zostawaliśmy.

W tym sierocińcu też miały miejsce różne historie. Mianowicie, raz cały sierociniec zaczął ziać. Ja co do tego miałam zawsze szczęście. Dwa domy osobno stały, i jeden dom zaczął ziać, i drugi. Cudem boskim, że te wszystkie dzieci ocalały. Tam kilkadziesiąt dzieci leżało pokotem. Uwijały się wychowawczynie z kompresami, bo wszystkie się za-truły. A my, z tego drugiego baraku, starsze dzieci, na czworaka, na podwórko, przez śnieg, potem gdzie kto mógł, tam leżał. Ból głowy niesamowity, straszne rzeczy się działy.

Ponieważ byliśmy trochę odizolowani od centralnego budynku, to w tym baraku wyznaczaliśmy stale wieczorem dyżury. Wieczorem każdy dyżury idzie, kradnie ~~kop~~ <sup>o</sup> ~~stę~~, zgnią marchew, buraki.



Tam nie było magazynów, to wszystko leżało pod śniegiem. Szło się do ubikacji, i po drodze można było sobie wziąć. To nawet nie była kradzież, to leżało, i tylko trzeba było wziąć. Kto miał dyżur, ten przy nosił, siadaliśmy wszyscy na jednym łóżku, i to wszystko się konsumowało. I co wieczór było takie nasze dożywianie, wspólne i przymusowe. Siadaliśmy, i wspólnie spożywaliśmy tą drugą kolację.

Tam w Tomsku, gdy tańczyłam krakowiaka, zawsze brakowało mi coś do tego stroju. Jak pamiętam zawsze była awantura, piekło, bo mi coś w ostatniej chwili brakowało, i nie mogłam sobie zorganizować. Ta pani była bardzo wymagająca/jedna coś nie miała, to ją po śniegu boso wypuściła do domu/. Z tego tytułu, że tańczyłam, to miałam i przyjemności w sensie jedzenia dodatkowego, i problemy straszne z tym moim strojem krakowskim. Wylałam tam morze łez. To były straszne tragedie gdy przychodzi do występu, i ja czegoś nie mam. Piekło i wszystko skupia się na mnie.

Do szkoły też chodziliśmy. To była szkoła rosyjska. Pierwsza klasa, do której ja oczywiście trafiłam, była w samym sierocincu. Starsze dzieci chodziły na zewnątrz. Ja dziwnie zawsze miałam problemy. Na przykład: tam dużą uwagę przywiązywano do kaligrafii. Tam musiało się pięknie pisać. I to było najważniejsze w pierwszej klasie. I była diktowka. Ja pięknie wykaligrafowałam, i byłam przekonana, że dostanę piątkę. A ktoś wziął i starł mi literę "e". Tam nie mogło być ani poprawiane, ani starte. Ja patrzę, i myślę, że otliczno, a to oczeń płochy. To była właśnie ta rosyjska szkoła.

Pracowaliśmy na polach. Było zimno, szron, a tu chodziło się z gołymi nogami, czasami tylko były getry, a stopa goła. Stale nas atakowały wrzody, świerzb. Wieczorami, tak jak w Czeremoszce i Spicgorodku, siadało się, odchyłało się koszulę, a tam wszy szeregami chodziły, takie olbrzymie. Odchodziło strzelanie. Śpiewaliśmy wtedy "Woszi|jedut, noszi|idut, woszi naszych podwieszut" - że te wszy tak jada i idą, i nas podwiozą.

Tak żeśmy łupali tam te wszy, a były one ogromne. Włosy mieliśmy krótkie, a na głowie też tych wszów było tyle...

Poza tym były wrzody. Ja miałam historie z palcami u nóg. Te nogi też jakoś ropiały. Ale była taka jedność, lubiliśmy się, tak <sup>ż</sup> jeżeli chodzi o młodzież: jeden za wszystkich, wszyscy-y za jednego. Jak wiedzieli, że idziemy do pracy, deski z parostatku znosić, i chłopcy zobaczyli, że ja utykam, że nie mogę iść, to zrobili krzeselko i <sup>nie</sup>nieśli. Było bardzo przyjemnie. To właśnie nas podtrzymywało na duchu, <sup>u</sup> że żeśmy się tak lubili między sobą. Jak dawano nam chorągiewki, w rocznicę związaną z powstaniem kościuszkowskim chyba, to było w Tomsku. Chorągiewka była jed<sup>a</sup> czerwona, druga biało-czerwona, i jeden chłopak rzucił tą czerwoną na ziemię. "Kto rzucił?" - nikt nie przyznał się, wszyscy do kary. W końcu dyrektorka dowiedziała się, kto to zrobił. Zaczęła jego głową o ścianę bić, strasznie. Ale tam nikt nikogo nie wydał, mowy o tym nie było, żeby ktoś kogoś zdradził. Wszyscy cierpieli równo, jak kara, to dla wszystkich.

Bandy tam przegrywały w karty domy, szpitale, fabryki. Ale lojali nie pisali zawsze kartkę, że "dziś będziecie podpaleni". Dom koło nas palił się, myśmy byli w pogotowiu, w ubraniach wszyscy. Na naszym sierocińcu była kartka, że będziemy spaleni, to NKWD przyjechało, beczkami

mi nas obstawiało, i sami czuwali, żeby nic się nie stało. Obok fabryka spaliła się. Nastrój grozy. To było coś takiego, że jak w karty przegrało się np. fabrykę, to trzeba było ją podpalić. To były te bandy bieżprizornych dzieci.

Gdy dom dziecka przeszedł w ręce rosyjskie, to nie odczuło się wyraźniejszych zmian. Dyscyplina była duża, praca, nauka. Część personelu to były Polki. Dyrekcja była rosyjska. Oczywiście nie było już porannej i wieczornej modlitwy. Czytano nam książkę Wandy Wasilewskiej "Raduga" - w języku rosyjskim czytała nam wychowawczyni, Ukrainka

W Tomsku byliśmy od 42-go do kwietnia 44-go roku. A potem, od kwietnia, było to przeniesienie do ~~stanicy~~ ~~afiskiej~~.

W Tomsku było około dwustu dzieci. Dziesięcioro, albo dwunastoro, uciekło do Polski /już z Afibskiej/. Sierociniec w Tomsku, to był ładny murowany dom. Ulicą szły tory kolejowe i przejeżdżał pociąg. My też mieszkaliśmy w tym murowanym, a potem, gdy rozszerzył się sierociniec, czy były potrzebne jakieś pomieszczenia, to obok, na tej posesji był taki drewniany budynek, barak, i myśmy tam przeszli. Na początku, na olbrzymiej sali spaliśmy razem dziewczynki i chłopcy. Dopóki nie poprzedzono sali na sale - tą olbrzymią salę przedzielono, i wtedy rozdzielono nas; chłopcy osobno, dziewczynki osobno. Była tam stołówka, był krasny ugałok - taka świetlica, gdzie na ścianie na czerwonej płachcie, była wymalowana wojenna mapa /była u nas Rosjanka po wyższej szkole plastycznej/. Tam było pokazane, jak przemieszczają się wojska, jak np. uciekają Niemcy, a Rosjanie następują, jak się przesuwają granica. Niemiec był z taką podwiązaną białą chustką, uciekał przez granicę, a za nim Rosjanie idą z bagnietem w dłoni. Uświadamiano nas, co się dzieje na froncie. Jak myśmy się tam wprowadzili, dotego sierocińca, to była to jakaś olbrzymia sala. Tą salę właśnie podzielono na takie mniejsze sale, na ten krasny ugałok. Dwie sale lekcyjne się mieściły, i jeszcze sala dla starszych chłopców. Potem wygospodarowano jeszcze magazyn z tej sali. A na dole była stołówka. Tam były też dyżury starszych dzieci, które pomagały nakrywać do stołu, potem podawać do stołu, zbierać ze stołu, i zmywać. Dzieci przychodziły na stołówkę poszczególnymi grupami i jadły. Były normalnie śniadania, obiady i kolacje. Nigdy jednak nie były do syta. Każdy wstawał, i siadał głodny. Popularną zupą była szczyucha. Szczy to była z kapusty zupa, ucha - z ryb, bo było ich tam pod dostatkiem, z rzeki Obji. Innych zup nie przypominam sobie. Może były jakieś ziemniaki na drugie danie, może po kawałku chleba - nie pamiętam. Na kolację był pewnie garnek czarnej kawy i kawałek chleba. A śniadanie też składało się z czarnej kawy, nie zabieleranej, bez mleka, czarna kawa zbożowa i chleb.

Czas wolny polegał na tym, że siadało się, i słuchało, jak wychowawczyni czyta książkę. Ale czasu wolnego nie przypominam sobie, bo

nawet, gdy ona czytała książkę, to robiło się na drutach, albo coś innego. Czas wolny poświęcało się na przygotowania do występów. Stale musiały być próby. Specjalnego czasu wolnego nie przypominam sobie. Pamiętam tylko pracę i takie konkretne zajęcia. Przed obiadem, czy kiedy, na pewno ktoś musiał gdzieś przejść się załatwić swoje sprawy, ale tak, bez zajęcia, to nie było możliwości. Na pewno były zorganizowane zabawy jakies, może na powietrzu i wewnątrz, ale to miało charakter, że trzeba było przygotować się do czegoś, do jakiejś uroczystości, do rocznic.

- "Czy istniała opieka dzieci starszych nad młodszymi?"

Zorganizowanej opieki nie było, bo raczej nas izolowano. Grupa starsza miała swoje zajęcia, a młodsi swoje zajęcia. Spotykać mogliśmy się na polu, czy gdzieś. Gdy młodsze dziecko potrzebowało pomocy, to na pewno zwróciłoby się do starszych.

Pamiętam, że myśmy trochę z ciekawości, zaglądaliśmy do najmłodszej grupy, ale nie w formie pomocy, bo nie było takich możliwości. Pamiętam, że najbiedniejsze w sierocińcu były dzieci najmłodsze, bo sobie nie potrafiły nic zorganizować, a poza tym czuję, że były okradane z tych swoich drobnych porcji przez starszych. Może wychowawczynie, nie wiem. One były zdane na łaskę i niełaskę przełożonych. Miały te racje bardzo małe. Widok tych dzieci, ciągle wygłodniałych był straszny. Starsze, to pomagały sobie w różnych formach. Potem pomagały bardziej na Kaukazie, miały większe możliwości, bo były tam sady, ogrody. Z personelu pamiętam: pan Mikiciuk, pani Grzywacz /choreograf/, pani Wołosiańska, pani Szaido /magazynierka/.

W czterdziestym czwartym roku dowiedzieliśmy się, że mamy być przeniesieni do Afibska. Pamiętam, że biegliśmy po klatce schodowej, dzieci padały, ja też szalałam, myślałam, że z okna wyskoczę, bo nam się zdawało, że nie jedziemy na Kaukaz, ale do Polski. To była wielkie przeżycie, i szła ogarnąć wszystkich. Zapakowali nas w esaki. Ominęłam moment z moją mamą.

Matka, gdy dowiedziała się, że brat jest w szpitalu, wtedy ona chciała przyjść, a jedyna komunikacja była pieszo. Pięćdziesiąt stopni mrozu, szła do nas, NKWD wróciło ją spowrotem. Tam w Parabieli dowiedziała się, i szła do Tomsku pieszo. Wrócono ją po raz drugi z drogi. Przypominam sobie, jak przyszła ta pani Szyngierska, która była w tym sierocińcu i mówi "Słuchaj, czy chcesz zobaczyć portret swojej matki? Ja przychodzę, a siedzi kobieta cała czarna, bo szła w tym mrozie, i mroz ją spalił, zupełnie szczerniała. Nie poznałam własnej matki. Przywitaliśmy się, i matka wtedy została na Czeremoszce, a ja nadal w Spiegorodku. Uciekła wtedy z Parabieli., a w Czeremoszce była w domu inwalidów, bo koń ją poniósł na słup telegraficzny, została pobita, nieprzytomna leżała na Czeremoszce. Została w domu inwalidów, a następnie zachorowała na tyfus i leżała w szpitalu. My z bratem byliśmy wtedy w Tomsku. Listy były pisane do szpitala, te, których dowiedziałam się o dodatkowych porcjach jedzenia brata/. Dzieci chorowały. Ta koleżanka, która była naszą przełożoną w Spiegorodku, zmarła na suchoty w Tomsku, bo była chora na gruźlicę. Wiele dzieci zmarło w tym okresie. Mama jak przyszła, to mnie nie poznała, bo byłam taka chuda. Było to wtedy gdy tylko przyszła.

Dobilo mnie to, że gdy przewożono nas z Tomsku do Afibskiej, to ja przechodziłam krwawą dezynterię, koklusz i jeszcze jedną chorobę, po której miałam wysypkę. To było już weszalone. Koklusz w dalszym ciągu, w Afibskiej, mnie prześladował. Gdy wyjeżdżaliśmy, dyrektorka zgodziła się, że mama będzie zatrudniona jako wychowawczyni, nauczycielka. Przyjechała więc razem z nami, do Afibskiej. Gdy my byliśmy w Tomsku, to mama była na Czeremoszce, w domu inwalidów. Pracowała tam. Mogła nas bardzo rzadko odwiedzać, albo my dostawaliśmy zezwolenie, i odwiedzaliśmy mamę na Czeremoszce. Było to uciążliwe, bo grasowały te bandy. Dziwnym trafem zawsze nas rozszyfrowali, i widzieli, i krzyczeli, że ~~wyjdźcie~~ żydy idut. Złapała nas taka grupa. Krzyczeli na nas, zaczęli bic kamieniami "żydy idut!" Nie rozróżniali nas, widzieli, że nie Rosjanie, ktoś idzie.

Gonili nas. Prosiłam o pomoc wojskowego, ale on też był bezradny wobec całej bandy, więc nie mógł mi pomóc. Doszliśmy do wniosku, że są to bardzo niebezpieczne wycieczki, i jeśli już wybierać się, to większą grupą, aby była możliwość obrony.

Nie wiem jak długo jechaliśmy, bo cały czas chorowałam. Leżałam w izolatce. Jechaliśmy oczywiście w świniajkach. Zawieziono nas tak do Afibskiej. Tu sady, drzewa. Wszyscy spragnieni owoców rzucili się na to. To było jeszcze niedojrzałe, i ten i ow <sup>ciężki</sup> skręt<sup>m</sup> kiszek. Ja miałam wtedy naście lat, ważyłam dwadzieścia ileś kilogramów. Wyglądałam przepięknie. Nogi miałam jak patyki, i całe życie miałam najwięcej problemów z nogami, bo zaczęli mnie przezywać - komarowe nogi. Co miałam, to kładłam na nogi, żeby chłopcy mnie nie przezywali. Taka byłam chuda i cienka.

Pracowaliśmy tam w dzieckim sadzie. Niezależnie od tego chodziliśmy do szkoły. Szkoła była już w języku polskim. Pierwsza, i chyba druga klasa w języku polskim, na terenie sierocińca. Natomiast starsza młodzież chodziła do szkoły rosyjskiej na terenie stacji Afibskiej. Nadal panował głód, niedostatek. Chleba tam nie było. Chleb był z kukurydzą. Tam były całe pola kukurydzy i słoneczników. Potrawy to było tam pod każdą postacią kukurydza - na pierwsze, drugie i trzecie danie kukurydza. Początkowo, to było trudno nawet się przyzwyczać, bo chciało się kawałeczek chleba.

Tam już starsi chłopcy dawali sobie radę, bo chodzili na gołonie drzew. Tam pomimo, że wszystkiego było dużo, to nie wolno było wziąć żadnych owoców. Mogły one gnić na ziemi, ale brać nie było można. Chłopcy więc chodzili, i trzeba było ich kryć. Do magazynu dostawali się kominem. Jeżeli chodzi o ochronę sierocińca, bo myśmy byli w kilku budynkach, to dyżurowali starsi chłopcy. Więc podczas tych dyżurów, przez komin dostawali się do magazynu. Czasami, gdy brałam dyżur, dostawałam taką lepioszkę.

Lepioszka to było z wody i mąki zrobione coś na gorącej płycie. Zastanawiałam się czasami, skąd on to ma, bo tak mi dawał. Potem była straszna afera, bo wykryto, że oni się tam dobierają. Mieli później wielkie nieprzyjemności, i jakąś karę. Był między nami <sup>był</sup> chłopak, o którym mówiono, że jest głupi, bo gdy mu dali coś do ubrania, to on pojechał do Krasnodaru, sprzedał i podjadł sobie. Gdy wracał, i mówili mu żeby zdjął wierzchnie okrycie, on nie mógł, bo sprzedał spodnie i był nagi. Mówili na niego-głupi, a on był najmądrzejszy, ponieważ jak już miał tego dość, to postanowił do Polski uciec. Ponieważ go tyle razy, gdy sprzedawał, spowrotem do sierocińca wracali, więc on wymyślił <sup>by</sup> pojechać do Polski. Rzeczywiście, uciekł z sierocińca, dotarł do Polski i napisał list: "Głupi w Polsce, a mądrzy w Rosji". Tylko tyle. Jak starsi chłopcy dowiedzieli się, że taki głupi, i jest w Polsce, to oni też. I wtedy właśnie między innymi Kurek, Grzywacz-dwóch Grzywaczy. Umówili się grupami, i uciekali. O tym ja wszystko wiedziałam, bo to trzeba było ich pożegnać, brat mój mapę im rysował, którędy mają jechać, przez jakie stacje. A mama, ponieważ była wychowawczynią, ponosiła za to pełną odpowiedzialność. Ja kryłam chłopców, nie powiedziałam, że oni jadą, a mama miała za to obrywy. I właśnie kilka takich grup uciekło.

Potem miałam straszne przeżycia. Moja mama miała zawsze niewyparzony język, wszędzie mówiła wszystko, NKWD ją ciągało. Okazało się, że nie dostanie zezwolenia na wyjazd do Polski. Były różne przemyślenia, że w kufrach nas przewiozą, ale pierwszym odruchem była ucieczka. Myśmy trzy razy uciekali do Polski, i trzy razy nam się nie udało. Ostatni raz, to mnie wsadzono, i cały sierociniec płakał okrutnie, grypsy do mnie przysyłali przez szparę od drzwi i okiennicy "Ala, trzymaj się, bony zacię trzymamy wszyscy! Wszyscy jesteśmy za tobą". Była taka sytuacja, że już trzeci raz uciekaliśmy, a to albo pociąg zanknięty, albo nie wpuszczają, albo biletu się nie dostało. Ja chciałam w ostatnim dniu pożegnać się z koleżankami ze swojej grupy.

Jak się z nimi żegnałam, w drzwiach stanęła wychowawczyni, i pyta: "Gdzie ty?" Ja przeleciałam przez jej ręce, pobiegłam w stronę stacji. Ona za mną. Były straszne zasy śniegu. Ja uciekałam w trzech płaszczach na sobie, i w takich pinach-butach. Mi było bardzo ciężko i niewygodnie, a ona sprytniejsza dobiegła i mnie złapała za kark. Ciągnęła mnie po śniegu, a ja udawałam, że zemdlalam. Dociągnęła mnie aż do dyrektor<sup>ki</sup> domu. Tam wsadzili mnie pod kluczem i siedziałam. Patrzę na zegarek, i myślę, że mam z bratem już są na stacji, i wyjeżdżają, a ja zostaję tutaj sama, i nie mogę uciec. Listy szły wszystkimi szparami, żeby się trzymała, że oni za mną stoją murem. Cały sierociniec strajkował żeby mnie wypuścić. Mówili, że kochane nasze loczki zanękli, bo wtedy włosy mi trochę odrosły, i zaczęły się kręcić. Wszyscy byli za mną. Potem okazało się, że mama z bratem zrezygnowała z ucieczki, i wrócili. A gdy oni wrócili, mnie wypuszczono.

W Stanicy Afibskiej byliśmy w tej samej grupie, w której byliśmy w Tomsku. Nie dołączano do nas innych dzieci. Szkoła była już polska. A gdy był przemarsz innych sierocińców rosyjskich, to doszliśmy do wniosku, że nasze dzieci to cuda, bo tante były wszystkie z nożami w kieszeniach. Strasznie odzywali się do swoich wychowawczyń. Tak jak Makarenko opisuje poemat pedagogiczny, to tak rzeczywiście było. Cieszyliśmy się, że jak najprędzej usunięto ten sierociniec z tego terenu.

"Jak wyglądały lekcje w Afibsku?"

Były tam poszczególne przedmioty: i polski, i rosyjski, matematyka, nawet przyroda, rysunki. A niemieckiego ta pani uczyła nas sama w tej ziemlance. Śnieg zasypał nas, to ona zaczęła z nami te pierwsze rzeczy. Brat był bardzo zdolny i szybko rozumiał. To była przyjemność jego uczyć. Ja natomiast nie dorównywałam, i nie dotrzymywałam kroku bratu, tak, że moja edukacja skończyła się po kilku lekcjach, ale to było jeszcze w Lapinborze.

"Jak wyglądała ta Stanica Afibska?"

Ona wyglądała pięknie, bo każdy domek kozacki tonął w różach.



Te donki kozackie były takie bardzo ozdobne, całe w zieleni, i w kwieciu różowym. Ponadto kwitnące sady, rzeka przepływająca obok stacji. Myśmy się tam kąpali. Obok niej był sad dziecińca-domskij sad. Koło tego sadu była winna latorośl, pola winogron, ale tam nie wolno było wchodzić ani uszczknąć. Jak tam się ktoś zapędził, jak ja swojego czasu, to ten strzelał z soli, a gdy ta sól dostała się do ciała, to wiadomo. To było dla niepowołanych, którzy weszli na ten teren.

- "Czy tu nadal był obowiązek pracy?"

Sierociniec nadal był w rękach rosyjskich, naszą wychowawczynią była Rosjanka. I nadal był obowiązek pracy, tutaj przeważnie na polach dzietdomskich, bo dzietdom miał swoje pola, i trzeba było na nich normalnie uprawiać. A tam prawie zimy nie ma, więc było stałe zajęcie. Klimat tam był taki morski, bo to blisko Morza Czarnego. Niezależnie od tego, dzieci w dalszym ciągu robiły na drutach robótki na zamówienie. A chłopcy mieli masę zajęć w utrzymaniu takiego domu, bo to nie był przecież jeden dom, lecz kilka, cztery czy pięć takich domów rozrzucanych. Jedna grupa była w jednym domu, druga w drugim, stołówka w następnym, dyrekcja w następnym domu. One były tak porozrzucane. Tam było bardzo ładnie, piękny widok na Góry Kaukaz, tam dalej Czarne Morze, pola słoneczników, pola kukurydzy, rzeka chyba Kubań.

Mama była tam ze mną, ale mieszkała osobno, miała swoją grupę i prawie wcale nie kontaktowała się ze mną. Ja i brat byliśmy w innych grupach u innych wychowawczyń. Moją wychowawczynią była pani Wołosiańska.

Moja mama jeździła do Krasnodaru, i tam wypenetrowała, że istnieje tam biblioteka polska. Mama sprowadziła z tej biblioteki "Krzyżaków", Trylogię Sienkiewicza, Mickiewicza, i czytała<sup>to</sup> dzieciom. Do dzisiejszego dnia moi koledzy i koleżanki stamtąd wspominają, jak mama siadała przed rozłożystym drzewem i czytała na Kubani, i czytała, po cząwszy od "Krzyżaków", całą Trylogię Sienkiewicza, a oni prosili ją o cze. Były<sup>to</sup> właśnie przepiękne przedpołudnia, bo część czytała przed ~~południem~~, i po południu część.

Ja niezależnie od tego, poza limitem starałam się sama przeczytać coś i akurat przeczytała Kraszewskiego "Barani kozuszek". Oprócz tego zaczęłam czytać Mickiewicza, i uczyć się na pamięć "Ballad". Do dziś pamiętam "Lilie", i mogę powiedzieć z małymi błędami. Książki te czytałyśmy również sobie wieczorem. Siadałyśmy wieczorem, bo nas to tak strasznie ciekawiło, i po jednej balladzie czytało się. Pod kołdrą, gdy nikogo nie było. W te piękne wieczory i południa, gdy była wolna chwila, mama siadała pod drzewem i w grupie czytała.

Dzieci, jak dzieci, różne rzeczy robiły. Było np. piękne hasło o Stalinie wywieszane w świetlicy, to dzieci je zamalowały, albo rzucały czymś nieczystym. Potem kazano nam za karę przynosić wodę w niednicach z rzeki. To był olbrzymi kawał, i trzeba było ileś tych niednic przynieść. Brzeg był urwisty, szło się po tą wodę, wyciągało się, a ona się wylewała z tazy. To była syzyfowa praca, bo ta woda się wylewała, a trzeba było to zrobić, bo się obraziło Stalina.

Niezależnie od tego, ja, czy brat, wykłuliśmy oczy w portrecie Stalina. Początkowo nikt nie zwrócił uwagi, a potem zauważono, i znów była afera, i kara była podobnego typu jak poprzednia. Przypominam to sobie, bo nie dość tych taz i wylewającej się wody, to jeden chłopak z tej stacji, Rosjanin, gonił nas. A drugi, znów chuligan, bronił, bo mnie dziwnie chłopcy lubili, nawet chuligani. On mówił "Tu Ałuszeńka właśnie niesie wodę, to nie ruszaj tego tazu". Nawet przy czwartym, czy którym transporcie, to chłopak Rosjanin pomógł nam nieść. To nam z kolei dali z kuchni olbrzymi gar, czworo przy jednym, i przy drugim uchu. I tą wodę dźwigało się do sierocińca.

Doszła nas wiadomość, że wyjeżdżamy do Polski. Płakaliśmy z radości i szczęścia. Tak objawiła się ta nasza wielka radość. Wszyscy płakaliśmy, że Polska wolna, że możemy wrócić do kraju. Zaczęliśmy się pakować. U mnie radość była przemieszana, bo nam nie dali zezwolenia na wyjazd do Polski przez mamy występy. Mama dostała zezwolenie dopiero w ostatniej chwili.

Kufry były przygotowane na ten wyjazd, żeby nas w kufrach przewieźć.

Wyjazd w tych wagonach, szalonych, był straszny, bo zawsze choro-  
rowałam przy każdym wyjeździe. Jechaliśmy prawie w takich samych r-  
warunkach co przedtem. Było ciężko i trudno, ale już lepiej z wyży-  
wieniem. Najlepszy był moment przy przekroczeniu polskiej granicy,  
że myśmy na każdej stacji, gdzie tylko zatrzymał się pociąg, kupo-  
waliśmy chleb. Gdy przyjechaliśmy na stację przeznaczenia, czyli do  
Siemiatycz, to nie mieliśmy całego kufera chleba, bo baliśmy się ogromnie,  
że zabraknie. A tu można było kupić ile, i kto chce.

Pamiętam też moment pożegnania naszego kochanego Białopiotro-  
wicza, dyrektora sierocińca i lekarza, bo on początkowo był dyrekto-  
rem, a potem przejął obowiązki lekarza, w Tomsku i Afibsku.

Transport nasz przybył w marcu, a wyjechaliśmy gdzieś zimą.  
Jak przyjechaliśmy do Opola, to byliśmy ubrani w te wszystkie zio-  
mowe rzeczy. Na stacjach po drodze stało się gdzieś na bocznych  
torach. ~~W~~ tego sierocińca musiało być kilka wagonów, bo i dzieci, i  
i personel, i zaopatrzenie, a oprócz tego nie pamiętam, czy to był wię-  
kszy transport. Przejechaliśmy całą Polskę i dojechaliśmy do Opola.

Do Opola przyjechaliśmy w niedzielę, i postanowiliśmy taką  
grupą większą pójść do kościoła, i pomodlić się za szczęśliwy pow-  
rót. Nie myśleliśmy wcale, że źle wyglądamy. Dopiero jak wyszliśmy  
na ulicę, a to dzień był słoneczny i ciepły, wszyscy poubierani  
bardzo ładnie, w płaszczyki, pantofelki. My widzieliśmy, że ktoś jest  
bardzo ładnie, nawet pięknie ubrany, a nie obserwowaliśmy siebie.  
Byliśmy cali umorusani. Przecież w tym ubraniu przebyliśmy te kil-  
ka tygodni w wagonach. Byliśmy w błocie, w smole, w smarze, w cza-  
pach ciepłych, w paltach, w pimach, walonkach na nogach. A tu, w Opo-  
lu, wszyscy w pantofelkach. Zaczęli się na nas na ulicy oglądać,  
wytykać nas palcami. Co to za grupa i kto to idzie? Nie mieliśmy  
śmiałości wchodzić do kościoła i tak postaliśmy trochę pod koś-  
ciołem, pomodliliśmy się, i wróciliśmy spowrotem do swoich szalonych  
Postanowiliśmy już więcej nie wychodzić.

Potem nas umieszczono w jakimś pomieszczeniu, w budynku w Opolu. Tam spaliśmy. Przypominam sobie, że z tego budynku, z bratem i jeszcze kilkorgiem dzieci wychodziliśmy do jakichś bunkrów obok. One były pełne dokumentów, pełne listów. Myśmy tam penetrowali, znaczki odklejałyśmy od tych listów. Dłuższy czas chodziliśmy po tych bunkrach, piwnicach.

Z Opoli pojechaliśmy prosto do Siemiatycz, gdzie urodziła się moja mama. Dziadek już zmarł, babcia jeszcze żyła. Na gospodarce był tam brat z żoną i z dziećmi. Czekali na nas na stacji w Siemiatyczach. Na stacji Siemiatycze spotkaliśmy kuzynów z Kajanki pod Siemiatyczami. Oni nas zabrali do siebie. Dali znać do Siemiatycz, że jesteśmy. I brat od matki przyjechał tam po nas. I tak zakończyła się nasza gehenna.

Białystok; 1991. 12. 08.

Proszę o wyrażenie  
Bochowski  
Daniel.

L. KASZETA III.